

BARTOSZ KLIMAS

Przyszedł na świat w Poznaniu i rodzinne miasto o nim nie zapomina – trwa właśnie dziewiąta edycja Dni Romana Wilhelmięgo. Uroczystości odbywają się w czerwcu oraz w listopadzie – aktor zmarł 3.11.1991, co oznacza, że nie ma go z nami już od ćwierćwiecza.

W mieście nie brakuje miejsc związanych z odtwórcą ról Olgierda Jarosza, Nikodema Dyźmy i Stanisława Anioła (by wymienić tylko bohaterów znanych najszerzej widzom).

Część uroczystości podczas Dni Romana Wilhelmięgo odbywa się na skwerze u zbiegu ulic 23 lutego i Masztalarskiej, który od 2011 roku nosi jego imię. 6 czerwca po raz kolejny zapłoną tu znicze, a pod pomnikiem patrona (stanął tu w 2012 roku, w znacznej mierze dzięki datkom widzów) przyjaciele i wielbicieli złożą kwiaty.

Wilhelmi ma w Poznaniu także dwie tablice pamiątkowe – jedną w pobliżu swojego skweru, na ścianie teatru Scena na piętrze, gdzie występował w latach 80., a w roku 1991 zagrał ostatnią rolę (w „Małym światku Sammy Lee” w reżyserii Zdzisława Wardejny). To właśnie działająca przy Scenie na piętrze fundacja Topsis robi najczęściej, by pamięć o aktorze przetrwała – Dni Romana Wilhelmięgo to ich dzieło. Nie bez powodu uwieczniony na pobliskim pomniku aktor spogląda właśnie w tę stronę.

– Spiritus movens upamiętnienia Wilhelmięgo był dziennikarz radiowy Rafał Pogrzebny, zbulwersowany tym, że aktor jest powszechnie uznawany za warszawiaka – mówi „Rzeczpospolitej” Romuald Grząślewicz, prezes Fundacji sceny na piętrze „Topsis”. – W 2008 roku na frontonie Teatru pojawiła się tablica, ale to miała być jednorazowa uroczystość. Tymczasem mamy dziewiątą edycję Dni Romana Wilhelmięgo.

Łysy Chrystusik

Drugą z tablic ku czci aktora odsłonięto na ścianie domu rodzinnego przy ul. Sikorskiego, na Wildzie. W kolejnych latach rodzina Wilhelmi (do najstarszego syna dołączyli dwaj młodszy bracia) mieszkała na Głogowskiej, później na

Metr siedemdziesiąt sześć aktora



rogu Roosevelta i Dąbrowskiego.

Swoją pierwszą rolę Romek zagrał jednak nie w Poznaniu, ale w Aleksandrowie Kujawskim, wysłany tam do szkoły z internatem prowadzonej przez salezjanów.

– W jednej z kapliczek w kościele zrobiono scenę. Książd Siuda, który wspinał się na palenie golili nam głowy na glanc, potrzebował małego, lekkiego, łysiego Chrystusika. Wsadzili mnie do kosza, nic nie kłamię, i przenieśli mnie z jednej kulisy w drugą – opowiadał w 1991 roku w wywiadzie dla „Gazety Robotniczej”. – Ja pamiętam do tej pory szmer

tamtej publiczności, a minęło prawie pięćdziesiąt lat. Od chwili, kiedy usłyszałem ten szmer, wiedziałem już, kim chcę być.

Postanowienia dotrzymał. Po powrocie do Poznania skończył liceum oraz szkołę instruktorów ruchu amatorskiego, która była – jak pisze Marcin Rychcik, autor biografii aktora – rodzajem średniej szkoły teatralnej.

W wieku piętnastu lat wygrał konkurs recytatorski organizowany w poznańskim oddziale Polskiego Radia – radość ze zwycięstwa okazała się trwalsza niż jego materialny wymiar, bo zdobyty aparat fotograficzny Leica został

bardzo szybko zgubiony. Wreszcie, stanął do organizowanego w poznańskim Teatrze Polskim egzaminu dla kandydatów do szkoły aktorskiej.

– Miałem wtedy pecha, który prześladował mnie jeszcze przez długi czas. Na dzień przed egzaminem potwornie spuchła mi twarz od bólowego zęba. Myślałem, że wszystko przepadło, ale kiedy stanąłem przed komisją, dostałem „natchnienia bożego” i jakoś mi się ta gęba otworzyła – wspominał w rozmowie z „Trybuną Opolską”.

Mimo dalszych trudności – poważny wypadek na rowerze i straskany łokieć – zdał egzamin

min (już ten właściwy) do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Został zauważony, chociaż nie obyło się bez obiekcji Adama Hanuszkiewicza, który uważał, że aktor powinien mieć metr dziewięćdziesiąt, a nie metr siedemdziesiąt sześć.

Z Poznania w świat

Niewysoki, ale aktor, Wilhelmi opuścił Poznań – w 1958 roku związał się z warszawskim Teatrem Ateneum, w którym pracował do lat osiemdziesiątych. Zapamiętano również jego role filmowe: m.in. Roberta Fornalskiego w „Zaklętych rewirach” i dziennikarza Jana w „Cmiej”.

W 1983 roku wystąpił w spektaklu „Dwoje na huśtawce” w reżyserii Kazimierza Kutza, na poznańskiej Scenie na piętrze. Później grał tu jeszcze w „Emigrantach” według Sławomira Mrożka i wreszcie, pracował nad ostatnią rolą – monodramem o dramacie upadłego hazardzisty. Wcześniej, w 1990 roku, zagrał tę samą postać w spektaklu Teatru Telewizji.

– Przyszedłem do Sceny na piętrze w marcu 1991 roku i wkrótce skontaktowałem się ze Zdzisławem Wardejnym, którego znałem od bardzo dawna – wspomina Grząślewicz. – Mówię mu, że obejmuję od kwietnia teatr, a on na to, że świetnie się składa, bo akurat pracuje z Romkiem nad sceniczną wersją monodramu. Przez trzy dni pobytu w Warszawie udało mi się podpisać umowy nie tylko z Wilhelmiem, ale także z Tadeuszem Łomnickim, Małgorzatą Niemirską, Markiem Walczewskim i Markiem Kondratem.

W tym czasie Roman Wilhelmi święcił jeden z ostatnich triumfów – telewizyjną rolę Jerzego Fryderyka Haendla w „Kołacji na cztery ręce” w reżyserii Kutza. W roli Jana Sebastiana Bacha partnerował mu wówczas Janusz Gajos.

– Kiedy po miesiącu przyjechał do Poznania na próby, było widać, że jest poważnie chory – mówi Grząślewicz. – Obserwowałem go podczas prób – otaczał się pancierzem, jakby bał się skaleczenia. Ale kiedy nabrał zaufania, stawał

się bratem łąką, bardzo serdeczny, lubił być duszą towarzysstwa, zawsze na pierwszym planie.

Człowiek zdbi miejsce

Poznańskie Dni Romana Wilhelmięgo to nie tylko znicze i kwiaty. W tym roku zaplanowano m.in. pokazy filmu „Wojna Światów” Piotra Szulki (Kino Muza) i paradę samochodów z czasów Nikodema Dyźmy. – Samochodów z okresu XX-lecia międzywojennego mamy w Poznaniu pięć, więc lepszym słowem niż „parada”, będzie „prezentacja” – mówi Grząślewicz. – Ich klaksfony dadzą sygnał do rozpoczęcia uroczystości.

W budynku Sceny na piętrze swoje miejsce znalazła wystawa pamiątek „Dopóki w naszej pamięci” – składają się na nią zdjęcia filmowe i prywatne, afisze teatralne oraz portret aktora namalowany przez Marcela van de Kraatsa – Holendra od lat mieszkającego w Poznaniu.

Na strudzonych będzie czekać grochówka z kuchni polowej – to, rzecz jasna, ukłon w stronę fanów „Czterech Pancernych”.

A jeśli wśród fanów znajdą się uczniowie szkół ponadpodstawowych, będą mieli szansę, by wykazać się w konkursie literackim pod hasłem „Homo locum ornat, non locus hominem” (Człowiek zdbi miejsce, nie miejsce człowieka) organizowanym wspólnie z Wielkopolskim Kuratorium Oświaty. Otwarcie konkursu 10 czerwca, zakończenie – w październiku, krótko przed jesienną odsłoną Dni Romana Wilhelmięgo. Nagrodą będzie przyjazd do Poznania i uroczyste odebranie dzieła wydrukowanego w „Gońcu sceny na piętrze” – jednodniówce wydawanej corocznie przez Teatr. Co można by napisać o Wilhelmiem w takim wypracowaniu?

– W teatrze do bólu pracowity i piekielnie ambitny. Miał w oczach ogień i cały się spalał. Nie tylko „bywał” artystą, ale nim był. Tęgo samego żądał od parterów, dlatego nie zawsze był lubiany, więcej przyjaciół miał poza teatrem, niż w nim. Taki jak on był jeden – podpowiada Romuald Grząślewicz. ☺☺